

PRZEGLĄD TYGODNIOWY

ŻYCIA KULTURALNEGO I OBYCZAJOWEGO.

STANISŁAW BOHUSZ-SIESTRZEŃCEWICZ CZŁOWIEK I ARTYSTA

I
Wymówić to imię — to znaczy wywołać wizję beztroskliwej słonecznej radości, tryskającej lekkomyślnym żartem i ciętym dowcipem; wizję południowej krainy, gdzie dojrzewa wino, a jego złociste krople tętnią w krwi i musują w mózgu uśmiechniętym umiłowaniem życia, obrazowem, plastycznym i barwnym. To znaczy — wywołać wspomnienie artysty o niepowседневnej



Stanisław Bohusz-Siestrzeńcewicz
(Zdjęcie fotogr. J. Bułhaka)

mocy twórczej i sugestyjnej, która nadawała byt wszystkiemu, czego dotknął słowem, gestem lub spójrzeniem.

Poznałem Siestrzeńcewicza w roku 1913-tym i niebawem zbliżyliśmy się i żyli w codziennym niemal obcowaniu, niepozbawionem odcieni serdeczniejszych. Stosunki nasze zacieśniała jeszcze trzyletnia niemiecka okupacja Wilna, gdy niedobitki polskiego społeczeństwa, steroryzowane przez najeźdźców, samozachowawczo kupiły się i szukały dla łatwiejszego przetrwania opresji. Po roku 1919-tym losy nas rozdzieliły — on przeniósł się do Poznania, potem do Warszawy, skąd zresztą zawsze za Wilnem tęsknił i powrócić do niego pragnął. Wtedy już tylko rzadko i dorywczo go widywałem. Ale tamto niezapomniane trzylecie wileńskie codziennej styczności z nim zapisało się głęboko i serdecznie w mojej pamięci.

Nazywaliśmy go krótko „malarzem“. Nie miał dla nas ani imienia ani nazwiska, i sam tak wołał. Mówił się wprost „malarz przyszedł“, „chodźmy do malarza“ i każdy wiedział, o kim była mowa.

Był nam spójnią, ośrodkiem, iskrzącą się tęczowo jasnością. Nie ogrzewał może słonecznym ciepłem dobroci, ale połyskiwał, mienił się i świecił promienistie, jak przepyszny meteor.

Każdy człowiek żywy i czujący garmał się do niego, pociągany nieprzyparcie jego zjawiskową świetnością. Kiedy Siestrzeńcewicz mówił, milkli wszyscy i godzinami potrafili słuchać go i podziwiać. Pod czarodziejstwem jego twórczego dotknięcia rozkwitali ludzie, a nabierały własnego bytu rzeczy. Przedmioty martwe zaczynały pulsować życiem i wyrazem, a ludziom czyniło się w duszy radośnie, obojętno i mocno, jak po wychyleniu kielicha perlistego szampana...

Kim byliśmy — „my“? Garstką mężczyzn intelektualistów, gronem ładnych, wdzięku młodości pełnych kobiet, uwięzionych w drucianej klatce niemieckiej okupacji. Kółkiem przyjaciół i towarzyszy ze sfery jego obcowania, barwnym wiankiem niewieścim ze sfery jego przyciągania. Nazwiska są zbędne, a inicjały powiedzą więcej, niż potrzeba tym, którzy te czasy zbliżają pamiętają. M. M., O. W., A. K., H. P., K. W., M. J., H. S. i wiele jeszcze innych błędnych kometa na stałym firmamencie „malarzowego“ nieba.

Najczęściej, codziennie niemal umiejscowieniem tej astralnej konstelacji był przez dłuższy czas pałac Paca na Wielkiej koło Imbarów. Zaraz po wzięciu Wilna zapragnęli Niemcy obdarzyć je blagą kultury i dobroczynności i otworzyli w tym pałacu stałą wystawę-jarmark przemysłu artystycznego. Oczywiście z podziałem na sekcje polską, litewską, białoruską i żydowską. Kierownictwo działu polskiego powierzyli Siestrzeńcewiczowi i piszącemu. Impreza była politycznie nieszkodliwa a rzeczowo zabawna, więc nie mieliśmy powodu uchylać się od niej. Nie obeszło się oczywiście przytem bez kawiarni, dobrej muzyki i winiarni z autentycznym reńskim — i tak czynności nasze urzędowe rychło zespoliły się z codziennym klubowaniem, na które wieczorami schodziło się całe zaprzysięgłe bractwo i wiele osób z towarzystwa, zwabionych nową atrakcją. Wśród staroświeckich mahoni, czeczotek i makat, w wielkich salonach, rześisto jaśniejących światłami i zwierciadłami, czyniły gościom honory domu polki z towarzystwa, jako urzędniczki i sprzedawczynie na wystawie; wyborny kwartet przygrywał nasze ulubione kawałki, Vöslauer i Niersteiner złożyły się topazowo w rżniętych kielichach — i ta polska, zlekka dekamerońska wyspa wśród oceanu niemieckiego wojennego zadżumienia była naprawdę niebrzydką i mile zaciszną ostoją, czyniącą dywersję zmęczonemu umysłom.

Nikt z nas w owe czasy nie miał kłopotu, co robić z wieczorem i naiwnością byłoby zapytywać: dokąd się wybiera. Oczywiście — szło się „na

wystawę“ dzisiaj, jutro i codziennie — jakoś samo przez się, bez ułożonego z góry programu.

A atrakcja na wystawie była jedna. Był nią ten człowiek dziwny, artysta niepospolity, większy może w samym życiu, niż w swej sztuce; ten człowiek posiadający cudowny dar twórczego gawędzenia o wszystkim i niczem w taki sposób, że każda rzecz stawała się odrazu zajmującą, nową i ważną. Nie czuję się powołanym do szacowania dzieł malarskich Siestrzeńcewicza i byłbym z pewnością ostatnim z tych, co by je chcieli pomniejszać ujemną oceną, ale wyznam szczerze, iż dla mnie artystą największym, nie mającym równego, był Siestrzeńcewicz właśnie w życiu, w codziennym obcowaniu z ludźmi. A działo się to dlatego, że ten człowiek każdą chwilę przeżywał twórczo i tę atmosferę bezpośredniej i żywiołowej twórczości przenosił ze sobą wszędzie. Jak ów mitologiczny król przetwarzał na złoto wszystko, czego tknął, że wreszcie umarł z głodu, tak Siestrzeńcewicz wszystko, z czem obcował, czynił tworzywem sztuki — sam żył

tem „pięknym próżnowaniem“ i nas nim żywił i radował.

Rankami chmurny i hipochondrycznie niewyraźny, po południu zajęty w pracowni i mało widzialny, z nastaniem zmroku przeobrażał się i rozjaśniał.

A gdy na stole znalazła się faszka reńskiego lub „czerwoniaka“, a „table ronde“ obsiedli towarzysze i towarzyszki z „paczki“*), gdy pod ręką, bywało, poczuł malarz ołówki czy akwarelki do dorywczych karyktur i malowań, a uważny kwartet z cicha grał jakieś „Miljony Arlekina“ — wówczas, na tle światła, kolorów i dyskretniej muzyki zwyczajne zebranie towarzyskie przeistaczało się w sympozjon, którego on był „Królem Artusem“, mistrzem i rozkazodawcą.

Uważaliśmy wtedy zawsze, by mu nie zbrakło przyborów rysunkowych, gdyż lubił żartować ołówkiem i czynił to po mistrzowsku. Kilka kresek, para plam kolorowych — i oto znany „typek“ lub „damula“ żyją, puszą się, obnoszą po świecie z nieubłagany

*) Zwanej prywatnie między nami „Klubem księżycowym“.



„Dama w złotym szalu“. Obraz olejny St. Bohusza-Siestrzeńcewicza. Malowany w 1917 r. (Fotografował z oryginału J. Bułhak)

komizmem swoją mizerną istotę. I nie potrzeba na to było postaci szczególnie śmiesznej — każdego potrafił ująć humorystycznie, a rozpoczynał to — od samego siebie i swoich najbliższych. Pękaliśmy nieraz ze śmiechu, oglądając siebie doskonale „pokazanych” w malarzowie krzywym zwierciadle.

Obrazki te posłużyły za wzory do wyrobu drewnianych lalek wypitowanych i malowanych w warsztatach wystawy, a przedstawiających różnych naszych znajomych, polaków i Niemców. Figurki te cieszyły się wtedy dużym powodzeniem, zwłaszcza autoportret malowany w granatowym w paski garniturze z kozłą bródką, zadartym nosem i ponurą miną.

W chwilach szczególnego humorystycznego natchnienia Sistrzeńcewicz tworzył całe kompozycje figuralne, całe sceny z salonów wileńskiej socjety. Szkoda to niepowetowana, jeśli te obrazki zmarnowały się w zawierusze powojennej, gdyż była to poprostu malowana historia życia wileńskiego, żartobliwie odtworzona w przepysznych groteskach. Była także seria miejscowych luminarzy i działaczy z nieziemi: ciętymi wierszowaniami komentarzami jego pióra. Pamiętam taką tekę akwarel, wspaniale utraconych i charakterystycznych, gdzie nie brakło nikogo prawie z osób, występujących na arenie publicznego życia wileńskiego — było to arcydzieło satyrycznego ujęcia sylwety, ruchu i charakteru.

A czasami znowu były to rysunki zabawne, pikantne figliki i historyjki

z naszego miasta, efemerydy pocieszne, szkicowane od niechcenia na restauracyjnych serwetkach dla wspólnej zabawy. Wszystko przeplatane żartobliwym wierszem, jędnym słówkiem, udatnym kalamburem i wymowną mimiką, od których czyniło się nam wesoło, młodzieńczo i bez troskliwie.

Trzeba było widzieć, jak w takich chwilach jego nieładną ale mocno wyrazistą twarz ożywał dyskretny uśmiech, pełny galijskiego „esprit”. Jak z chmurnie poważnego oblicza skrami tryskały jego mądre oczy! Jak wszystko wkoło powoływało do barwnego i bajecznego życia te jego niby lekkomyślne żarty, nabrzmiałe wytworzone przemyślaną treścią, okraszone subtelnie przenikliwym dowcipem, zaprawione atyką solą doskonale trafnej ironji! A ta nadzwyczajna wymowa jego mimiki i gestu, pochylania głowy, ruchu postaci, które umiały wyczarowywać, stwarzać z niczego kipiące życiem korowody osób, wydarzenia i obrazów, doraźnie malowanych słowem na oczach olśnionych słuchaczy!..

A kiedy porzucał humorystyczne cenzurowanie bliźniego kołtunistwa dla szczerzego zachwytu nad rzeczą piękną, sprawą niezwykłą, myślą mądrą i wielką — jak wówczas roztopiały się ironiczne chochliki jego oczu w ciepłym wszechogarnięciu człowieka, życia i tego, co w nich dobre i warte szacunku! Jak w spoważniałem wejrzeniu próżno usiłowały skryć się ból przeżyć, wspomnień i żalem wiejącą tęsknota!.. W takich chwilach rzeczy-

wistość traciła byt, zegary przestawały znaczyć godziny w ludzkiej świadomości, codzienność pozornie ustępowała miejsce intronizowanemu królestwu pięknej baśni — słuchacze nie mieli i z zapartym oddechem wpatrywali się w Stańczyka, przeistoczonego w Skargę. A potem rozchodzili się z wolna i niechętnie, ale z niewytłomaczonym przeświadczeniem, iż stało się coś ważnego i dobrego, z głębokim wrażeniem jakiegoś pomnożenia i wywyższenia wartości życia...

Jan Bułhak.

Wilno. Kwiecień. 1928.

(D. C. N.)

Obszerna i wytwornie wydana monografia Stanisława Bohusza-Sistrzeńcewicza, ozdobiona kilkudziesięcioma reprodukcjami jego malarzowskich prac, ma się ukazać natychmiast po skompletowaniu gromadzonego właśnie przez rodzinnego brata zgasłego artysty materiału biograficznego oraz wiadomości o tak bardzo rozproszonych po świecie rysunkach, szkicach, akwarelach, grafikach i t. p. Stanisława Bohusza-Sistrzeńcewicza.

Wspomnienia o nim p. Jana Bułhaka, które ukażą się w trzech kolejnych numerach „Przeglądu Tygodniowego”, stanowiąc będą wysoce cenny przyczynek do rzeczonyj monografii.

Stulecie Ossolineum

Utarło się tą popularną nazwą „Ossolineum” zwać jedno z największych ognisk ruchu umysłowego i kulturalnego na ziemiach polskich, wielką księżnicę wydawniczą a zarazem wspaniałą instytucję muzealną lwowską. Instytucja ta, chlubę przynosząca Polsce, jest Zakład Narodowy imienia Ossolińskich — który w czasie tegorocznych Zielonych Świątek uroczystie obchodzić będzie stulecie swego istnienia.

Założycielem tej stuletniej już dziś fundacji był urodzony w 1748 w województwie Sandomierskim, w Woli Mieleskiej Józef Maksymilian Ossoliński, syn kasztelanica Michała i Anny z Szaniawskich, którego dobra rodzinne wiązały z Galicją przeszłą już w 1772 r. przy pierwszym podziale Polski pod berło austriackie Habsburgów.

Dom Ossolińskich — jak np. wywodzi Kubala — należał do możnowładców Rzeczypospolitej ale starożytnością rodu nie ustępował żadnemu w Polsce. Mówiąc po rzymsku, Ossolińscy należeli do patrycjuszów Rzeczypospolitej ale nie należeli do optymatów; nie mieli znacznego ma-

jątku, nie piastowali wysokich urzędów, któreby mogły ich wzbogacić. Splendor imienia Ossolińskich poszedł na całą Rzeczpospolitą i do dziś dnia popularnym jest na wszystkich jej ziemiach: od Jerzego Ossolińskiego, urodzonego w Sandomierzu z Fir-



Jerzy Ossoliński (1595 — 1650) kanclerz wielki koronny, dziad założyciela lwowskiego Ossolineum, znakomity dyplomata króla Władysława IV-go (z portretu Strobla. 1 35)

lejówny wojewodziański krakowski, pamiętnego po wsze czasy z wjazdu swego odprawionego do Rzymu w charakterze posła króla Władysława IV-go, którego był prawą ręką w ogromnych tego wielkiego monarchy dyplomatycznych zamierzeniach. Nieodrodna krew dziada płynęła w żyłach wnuka, Józefa Maksymiljana. Ten sam, co w niewygasłej pamięci kanclerzu wielkim koronnym, utrzymy w nim rozmach pro publico bono; tę samą rozagę, tenże polot umysłu przy gruntownej wiedzy.

Nie darmo był przyszły fundator Ossolineum uczniem takich luminarzy nauki jak Naruszewicz i obaj Bohomolcowie, Albertrandi, Piramowicz, wielki pedagog Wywicz... Był on sam, Józef Maksymilian Ossoliński, jakby z zawodu: uczonym. Zamieszkał od wczesnej młodości rozprawy po czasopismach, tłumaczył dzieła Seneki, ryl się po bibliotekach królewskich prześiadując w Warszawie, zwiedzał obce kraje a osiadłszy w dobrach swoich w Galicji — już jako „poddany austriacki” — poświęcał się w równej mierze gospodarce jak nauce. W odniesieniu do „wielkiego pana” zwano to jeszcze wówczas „dziwactwem”. Ossoliński ucho-



Zakład Narodowy imienia Ossolińskich we Lwowie

Nie „oho!” — lecz „aha!” czyli Jeszcze jedna książka

Autograf „Ślubów Panińskich” Fredry miał podobno znajdować się w posiadaniu p. Marji z Fredrów hr. Szembekowej wnuczki wielkiego naszego komedjopisarza. Tak przynajmniej mniemał dyrektor Narod. Zakładu im. Ossolińskich, dr. L. Bernacki niepospolity znawca naszych archiwów i bibliotek. Był jednak nawet on na fałszywym tropie. W chwili obecnej uchodzi za fakt niezbity, że autograf „Ślubów” zgoła nie istnieje.

Krytyczne wydania arcydzieła komedji polskiej opierają się... jedne na drugich. Tak np. prof. E. Kucharski sporządzając tekst „Ślubów” dla krakowskiej Biblioteki Narodowej (Serja 1-sza, Nr. 22) i opatrzyć go wstępem

i przypisami, opierał się na lwowskiej edycji z roku 1834-go, zaś w „Pismach Wszystkich” Fredry, których sześć już tomów zdążył wydać Zakład Nar. im. Ossolińskich, opierał się na warszawskim wydaniu „Ślubów” z r. 1880-go. Słowem — przedrukowywano, przedrukowywano, przedrukowywano...

Aliści, temi czasy, p. Jan Lorentowicz przeglądając z powodu wznowienia „Ślubów Panińskich” na scenie Teatru Narodowego stare egzemplarze suflerskie arcydzieła Fredry przechowywane w Bibliotece Warszawskich Teatrów Miejskich (dawna Biblioteka teatrów rządowych) natrafił na manuskrypt in quarto oznaczony numerem 1601 z adnotacją: „z tego się sufluje”.

Kiedy suflowano z tego sędziwego manuskryptu? Biorąc pod uwagę zarówno intyulację jak, zwłaszcza, zanotowaną obsadę, doszedł p. dyrektor Lorentowicz do wniosku, że ów godny największego pietyzmu egzemplarz „Ślubów” służyć musiał podczas war-

szawskiej premjery z dn. 16 listopada roku 1834-go*).

„Zaczęłam — pisze p. Lorentowicz — porównywać manuskrypt z krytycznym wydaniem „Ślubów” w Bibliotece Narodowej dokonane przez prof. Eugenjusza Kucharskiego. Okazało się, że zawiera tekst mniejszy, skrócony a miejscami zmieniony... A na innym miejscu pisze p. Lorentowicz: „Odkrycie nieznanych fragmentów „Ślubów” stawia na porządku dziennym sprawę pełnego, poprawnego wydania tego arcydzieła komedji polskiej. Dotychczasowe wydania, nie tylko są okrojone, ale różnią się między sobą co do układu i redakcji zdań...”

I — sprawę wydzwigniętą na porządek dzienny, sam p. Lorentowicz ujął corychlej za czub i ogłosił drukiem w książkowym wydaniu tekst „Ślubów Panińskich” skorygowany i dopełniony według wspomnianego suflerskiego eg-

*) „Śluby” ujrzały światło kinkietów we Lwowie — 15 lutego 1833-r.

zemplarza z roku 1833-go, zapoczątkowując wytwornie wydaną książkę: Bibliotekę Teatru Narodowego**).

Prawdę rzekłszy: jak tu było książki... nie wydać! W dodatku opatrzonej tak mile brzmiącym: „wydał i opracował Jan Lorentowicz”? W katalogach figurować będzie... pod literą L. jako jeszcze jedno opus autorskie pana dyrektora.

Jest „Słowo wstępne”. Wyjęliśmy zeń coby tylko parę frazesów. Oto zaś zakończenie. „Mamy przeświadczenie — pisze p. Lorentowicz — że nie tylko do byliśmy z zapomnienia fragmenty pierwszorzędnego dokumentu kultury polskiej, ale przyczynili się może do naukowego ustalenia tekstu „Ślubów”.

**) Pomimo, że na karcie tytułowej czytamy: Warszawa. 1928. Nakładem księgarni F. Hoessicka — wpobrazić sobie nie możemy aby Bibliotekę Teatru Narodowego wydawał kto inny niż — sam Teatr Narodowy. Jeżeli nie z wieku to z urzędu zaszczyt mu ten należał.

dził też do końca życia w rozumieniu wielu ludzi za dziwaka. Nie wówczas oczywiście gdy na czele delegacji Stanów Galicyjskich składał cesarzowi Leopoldowi II-mu swój wyczerpujący projekt organizacji kraju i gdy przez cztery lata dobijał się w Wiedniu reform dla Galicji; nie wówczas gdy brał nader czynny udział w ruchu politycznym polskim, gdy np. pośredniczył między Wiedniem a insurekcją Kościuszki — lecz gdy, osiadłszy na stałe w Wiedniu, zgnębiony klęskami, co się na ojczyznę i naród zwały, pograżył się w pracach naukowych i gromadził, gromadził księgi cenniejsze, obiekty muzealne, dzieła sztuki. Cenił go wysoko cesarz Franciszek I-szy, powoływał do rady w wielu ważnych sprawach kraju ojczystego, osypał tytułami, godnościami, orderami; a Ossoliński — z którym Kościuszko,



Józef Maksymilian Ossoliński, 1748—1826) założyciel Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie (według portretu Gabrieli Bertrand-Beyer)

bawiać w Wiedniu podczas kongresu 1815 r., porozumiewał się układając konstytucję dla nowoutworzonego Królestwa Polskiego — zakładał fundamenty pod dzieło najwyższej wagi dla oświaty narodowej, pod, połączony z muzeum księgozbiór publiczny.

Pomagał Ossolińskiemu w pracy jego przez lat dziesięć bibliotekarz, którym był ani mniej ani więcej tylko Samuel Bogumił Linde (miał w przebogatym księgozborze Ossolińskiego znakomity warsztat dla swego „Słownika Języka Polskiego”). Biblioteka rosła... zbiory rosły... a d majorem Patriae gloriam.

Dla pomieszczenia biblioteki i zbiorów kupuje Ossoliński we Lwowie, w 1817 r. na licytacji klasztor pokarmelitański (karmelitanek zwanych trze-wiczkowemi) tudzież mury b. kościoła poświęconego św. Agnieszce—sprowadza z Wiednia do Lwowa wszystkie swoje skarby biblioteczne i muzealne, łączy z niemi wspaniałe zbiory księżąt Lubomierskich z Przeworska—i tworzy fundację Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich dając jej za podstawę statut o znakomicie obmyślonych 60-ciu paragrafach, zatwierdzony 8 maja 1817 roku przez cesarza Franciszka.

Istnieje przeto Zakład Naukowy im. Ossolińskich od roku już 1817-go. Otwarcie tylko zbiorów i biblioteki dla użytku publicznego tydzień zapoczątkowanie wydawniczej działalności instytucji nastąpiło dopiero w dziesięć lat potem.

Chwili tej fundator Ossolineum nie dożył. Ociemniały lecz niezłomny na duchu, iście spiżowy ten człowiek o kryształowej duszy, całkowicie poświęcony dobru publicznemu do ostatniego tchnienia—umarł w Wiedniu 17 marca 1826 r.

✱

Już po śmierci fundatora dokonano przebudowania gmachu poklasztorowego przystosowując go do celów bibliotecznych. Pod kierunkiem kuratora zakładu ks. Henryka Lubomirskiego i według planu wiedeńskiego architekta Nobille'go, prowadził roboty inżynierskie późniejszy słynny dowódca artylerji polskiej pod Ostrołęką i Warszawą, a późniejszy bohater z kampanji węgierskiej, generał Józef Bem.

I rozpoczęły się stuletnie dzieje Ossolineum związane ściśle z historją nauki i kultury nie tylko w Lwowie lecz i całej Polski. Był przecie czas, że nie tylko przez długie lata stanowił Zakład Nar. im. Ossolińskich ośrodek życia naukowego w Galicji gdzie skupiali się najwybitniejsi mężowie nauki i literatury, jak Andrzej Białowski, Karol Szajnocha, Wincenty Pol, Antoni Małeki, Kornel Ujejski, Mieczysław Romanowicz, Zygmunt Kaczkowski, Walery i Władysław Łoziński, Kętrzyński i innych wielu — lecz był czas, że polski ruch wydawniczy wogóle koncentrował się we lwowskim Ossolineum korzystającym ze swobód niedostępnych dla zaboru zarówno rosyjskiego jak pruskiego. Ileż to dzieł, książek, broszur wydały na świat tłocznie drukarskie Ossolineum podtrzymując i krzewiąc polskość na ziemiach byłej Rzeczypospolitej! Niezliczyć. A

zbiory bezcenne lwowskiego Ossoleum, a trzystatystyczny księgozbiór Ossolińskich wraz z dziesięcioma tysiącami rękopisów, ileż to światła nauki rozśiały po ziemiach polskich!

W ciągu stu lat istnienia rozrosły się ogromnie środki materialne fundacji Józefa Maksymiljana Ossolińskiego. Obecnie Zakład posiada: gmach biblioteczny, kamienicę jedną i drugą we Lwowie, realność w Warszawie (Nowy Świat 33), majątek Michalewice (zapisany przez Rayskiego), dwie drukarnie we Lwowie i dwie księgarnie, jedną

we Lwowie, drugą w Warszawie. A i to jeszcze zapiszmy w pamięci ludzkiej, że iście Opatrzności zrządzeniem nie ucierpiało Ossolineum wcale podczas wojny.

Crescat i floreant!

Święto zaś jubileuszowe Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich nie jest bynajmniej lwowskim, lokalnym czy, jak dziś się mówi, regionalnym świętem. Jest to święto Polski całej. Chlubą i zaszczytem, — któremi się wszyscy, jak Polska szeroka i długa, bratnio i radośnie dzielimy!

Jubileusz Lehara.

Tak, i on także! I jego „jubileusz“ nie ominął.

Lat temu równo 25, w maju, młodziutki, smukły oficer przyniósł dyrekcyi teatru An der Wien duecik. Ładny był. Poszedł na scenę. Tym rzeczy. składam trafił na najświetniejszą wówczas scenę operetkową świata: Franz Lehar.

A był już wielki czas aby ktoś wskrzesił operetkę wiedeńską po zgonie Jana Straussa i Millöckera. Cisza zaczynała trwać zbyt długo. A w operetce przecie ma swój specyficzny wyraz — duch czasu. Gdy operetka milczy: dana epoka nie pełną jest. Alboż to w operetkach Offenbacha nie żyło całe Drugie Cesarstwo? Gdy ono padło pod Sedanem, skończyła się też epoka Offenbacha; wyszło źródło offenbachowskiej muzyki. Johann Strauss był śpiewającą duszą przemiej, wysoko kulturalnej burżuazji wiedeńskiej, co lubiła sama żyć w radości życia i drugim żyć dawała... Przenajczystsza, przenajsympatyczniejsza wiedeńskość... Uśmiech, jak by przez Schwinda malowany — oto muzyka operetkowa Jana Straussa.

Epoka Wilhelma II-go nie miała swego Offenbacha. Podobnie jak Berlin nie miał nigdy Meilhac'ów i Halévy'ch. Niema gruntu w Niemczech dla własnej operetki. Od tego jest Wiedeń—austriacki.

Po Janie Straussie berło operetki wiedeńskiej objął triumwirat: Franz Lehar, Oskar Strauss i Leo Fall, i doprowadził tę nową epokę aż do „Grafin Maritza“ Kalmana.

I znów operetka wiedeńska zdobyła świat. Gdzie nie nucono lub nie gwizdano walca z „Wesołej Wdówki“ lub „Czaru Walca“ lub „Dollarprinzessin“? Aż i zaczęła tak zwana „Rewja“ (Revue) podrywać popularność i wzię-

tość operetki... Lecz sama Rewja poczyną już gasnąć—w monotoni, swojej. Istotną, śmiertelną konkurencję wiedeńskiej operetce Straussów, Fallów i Leharów robi murzyńska dziś muzyka, z Ameryki importowana. Tak! Muzyczne melodje rwane, napół dzikie, niespokojne, bezczelne, jazzbandowe—trafiły przedziwnie w rytm powojennego świata. Saxophon, banjo, ukulele mają dla terażniejszych ludzi nieprzeparty czar. Wielka jakaś fala zaoceanowego egzotyizmu ogarnia Europę...

Czy ta powódź splucze z widowni świata tę, co przez czas tak długi panowała nad światem: wiedeńską operetką?

Dwudziestopięciolecie Lehara jakby się zbiegało z tą przełomową chwilą... Ha! Nic wiecznego pod słońcem niema. Inmortalia ne speres... pisał jeszcze Horacy.

Wilno malownicze



Zaulek Literacki

Zdjęcie fotograficzne F. Zaniewskiego

Czemże je „dopełnił“ p. Lorentowicz?

Zbierze się do 50-ciu wierszy, całkiem nowych, nie figurujących w żadnym z poprzednich wydań „Ślubów“ — rozrzuconych po tekście, wyróżnionych przez p. Lorentowicza tłustym, czarnym drukiem. Są to okruczki. Wystarczyłoby je zanotować w jakimś przypisku w przyszłym wydaniu „Ślubów“ lub np. w jakimś addytamencie do „Pism Wszystkich“ wydawanych przez Ossolineum. W tych drobiazgach jest jedno tylko wyrażenie się Klary, które ma jakieś takie kwalifikacje dla przejścia do potomności, mianowicie gdy Klara w rozmowie z Anielą (akt I-szy) uszczypnąwszy co się zowie „pawią dumą“, wyniosłość i wysokie trzymanie o sobie Gustawa (wszyscy mężczyźni tacy!), robi pauzę, a potem cała jeszcze z oburzenia drżąca, powiada: „Lecz co nam (dwom biednym niewiastom) wchodzić w to, czego (mężczyzna) chce, jak on to lub owo rozumie!... Dość, że mężczyzna zasłużył na karę!

Naszem zresztą zdaniem ten ostatni wiersz, z tak bardzo niewieścią po intencją, powinien być interpunktowany tak:

Dość, że mężczyzna! Zasłużył na karę.

Wówczas dopiero wychodzi należyte na jaw logika właściwa białogłomom, a którą przez usta Klary tak trafnie i dowcipnie podkreślił Fredro.

Lecz to i jedyna „perła“ w całej książce.

Reszta jest „dopełnień“, reszta „fragmentów“ mających jakoby mieć znaczenie „dokumentu kultury polskiej“ to... to...

Lecz oto próbki! Niech mówią za siebie.

W tekście Biblioteki Narodowej Gustaw w 3-ciej scenie I-go aktu ociera twarz—p. Lorentowicz prostuje: ociera czoło. A en passant oświadcza, że będzie trzymał się niezłomnie pisowni „pani Dobrojska“ a, Boże broń, nie „Dobrojska“ jak spostrzegł tu i ówdzie pisane i drukowane. W samej

rzeczy! Ustalmy raz przecie i na wieki wieczne to autentyczne Fredrowskie „ó“.

Albo: jak można było wydrukować w tekście Biblioteki Narodowej—„Nim się odezwiesz, pomyśl pierwiej nieco!“ P. Lorentowicz z rękopisem z roku 1833-go w ręku prostuje: „Nim się odezwiesz, pierwiej pomyśl nieco“. Albo: Albin w scenie 9-tej I-go aktu nie stoi przy prawej stronie sceny lecz po prawej stronie. Radosć woła nie „U djaska!“ lecz „U diabła“ I nie „zatrzymuje“ Gustawa lecz „wstrzymuje go“.

Albo zatrzymajmy się dłużej na stronicy 60-tej książki p. Lorentowicza. Wielkie Bogi! Radosć w Bibliotece Narodowej woła rozmawiając z panią Dobrojską: „Oho, ho, ho!“... Nie, nie sposób aby Fredro mógł podobną napisać herezję! P. Lorentowicz wyrzuca tę potworność raz na zawsze z literatury polskiej i ustala na podstawie rękopisu z roku 1833-go, że Radosć, nawet w najpopędliwszym ferworze rozmowy niemógł inaczej zawołać jak:

„O! ho, ho, ho!“ Tak też i było w istocie. Chwała Bogu! Dokument kultury polskiej odzyskany w nieskażonym kształcie.

Albo—zamiast „chrząknął“ na być „krząknął“. Krząknął! Jakże stylowe, jakże zalatujące staroświecczyną! Nie! Tylko „krząknął“ mogło spłynąć, wręcz odruchowo, z pióra Fredry.

A gdzieś tam dalej: co za fatalne przeoczenie w tekście prof. Kucharzskiego! Klara upuszcza kłębek, Albin rzuca się go podnosić. Klara wznosi oczy ku niebu i powiada:

Żeby raz jeden kłębek wypadł z dłoni,
A waćpan za nim nie byłś w pogoni,
Żeby raz chustka padła ze stolika...

Więc cóż? W porządku? Bynajmniej! P. Lorentowicz prostuje: powinno brzmieć „Żeby raz jeden wypadł kłębek z dłoni“. Nie: „kłębek wypadł“ lecz „wypadł kłębek“. Kto nie zdolny jest odczuć różnicy — tem gorzej dla niego.

Albo: jakże ciężkie przeżywalismy lata mając w tekście „Ślubów“ w czwartej



Zdzisław Kleszczyński

Przed trzema dniami gościł w Wilnie Zdzisław Kleszczyński. Wygłosił odczyt publiczny; „pokazał się” na srodzisz literackiej; przez radio mówił.

Dobry znajomy Wilna. Tu się wśród nas urodził 38 lat temu; tu w mundurku gimnazysty chodził... I znikł.

Aż oto, na rok coś przed samą wojną od płacht wszystkich gazet polskich odbiło się jak echem od gór jego nazwisko... tego właśnie naszego Zdzitka Kleszczyńskiego. Co się stało? A no nic. Wziął nagrodę na konkursie „Tygodnika Ilustrowanego” za wiersz o księciu Józefie Poniatowskim. A jakże, przypominamy sobie! Pisywał wiersze na gimnazjalnej ławce. Mówiono już w Wilnie, że na poetę „urośnie”.

I urosł. I nie tylko na poetę. Na pisarza, co się zowie. Już pokazał co potrafi w satyrycznych pamfletach puszczonych w świat (na samym początku wojny) przezornie... pod przybranym imieniem i nazwiskiem Aleksandra Korwana. A gdy... udało się, jazda śmiało dalej!

I zaczęły sypać się — oto od dobrych dziesięciu lat, jeżeli nie więcej: poezje eleganckie i pikantne poematki w lot wydawane z pierwszorzędnymi ilustracjami („Pogrzeb lalki”, „Żywot Kolombiny”) zbiory nowel, aż do tegorocznego tomu zatytułowanego „Siostry Cleo”, powieści (Białe noce”), a niezliczone feljetony (przedewszystkiem w „Kurjerze Warszawskim”) jedne błyskawicznie, dowcipniejsze od drugich, z szaloną werwą rzuca-

na papier, a bezczelne, a o nic w świecie nie dbające, a często — gęsto cięte okrutnie, nie wspominając o tem, że fascynujące jakąś oszałamiającą swadą...

Pardon! — zapomnieliśmy że Kleszczyński, jak się rozmachał piórem, tak i dla teatru kilka sztuk napisał... A ile ich przetłumaczył? Na palcach nie zliczyć obu rąk.

Jest — w dodatku — redaktorem naczelnym wielkiego tygodnika „Radio”.

Bardzo, bardzo to modern pisarz. Czuje „ducha czasu” jak mało kto. A powojenną dezynwolturę pasjami lubi i wie dobrze że mu jest z nią do twarzy. Znowu: pardon! Nie powiedzieliśmy, że ten kabaretowiec i dancinowiec zawołany bił się jak lew podczas wojny z ułańskiego konia, i szablą naciął karków ile się dało. Owóż i został w nim „sznit” jakiś zlekka militarny, nie wrodzony, broń Boże, lecz tylko ot, tak sobie „noszony” przez Kleszczyńskiego, jak się nosi przy cywilnym już stroju rozetkę Virtuti Militari. Dobrze to robi w ogólnym wyglądzie osobiście niepoprawnego kobieciarza. Ach mój Boże! Pardon jeszcze raz. A toż autor niezliczonych „Szytychów”, wierszy, co jak z bata palą, iskrzących się i musujących nowel, gra na fortepianie... że proszę siadać! Co za muzykalność di primo cartello! Co za wściekły temperament! Siadzie, bywało, zatopi się cały w muzykę naj... naj... najsubtelniejszą, najwytworniejszą — i improwizuje. Dalibóg, improwizuje!

Teraz zaś proszę sobie wyobrazić, co to musi być za szarman, co to za wieczysty pędzi wiatr (oblecieć samochodem Polskę to dla niego fraszka, samemu w dodatku prowadząc „maszynę” na łeb na szyję choć w rabinową noc!); co to za kompan, co to za zdolna bestja i lotna i nieopisanie miła i gotowa na wszystko (osobiście byle mu niewiasta wpadła w oko a ma niemi zawsze oczy zapruszone) co to za turysta i causeur i ile to on pieniędzy przez te swoje utalentowane dłonie przepuści!

Okręcił się w Wilnie na jednej nodze. Już go niema. Już z powrotem jest w Warszawie. Takiemu tylko i żyć w warszawskim ukropie. Gdziebyś ty, kochanieńki, usiadł u nas w Wilnie choć by tylko trzy dni „pod rząd”!

Bywaj zdrow! Żywego srebra w garści nie utrzymać.

NOWOŚCI WYDAWNICZE



— W „Świecie” (Nr 19) kilka ciekawych wrażeń red. Stefana Krzywoszewskiego z berlińskiego kongresu międzynarodowego związków autorów dramatycznych. Wśród tych impresyj oto taki obrazek z teraźniejszego Berlina:

„W przerwie między rannymi i popołudniowymi obradami Kongresu, błąkam się z Perzyńskim i Grubińskim po nowych, zachodnich kwartałach miasta. Na Kurfürstenstrasse uwagę naszą zwraca wielka księgarnia rosyjska „Kniha”. Lokal wspinał się. Grubiński dostrzeża w oknie wystawowym przekład swojej „Uczty Baltazara”. Perzyńskiego zafrapowały polskie książki, w Moskwie drukowane, a przez szybę propaganda bolszewicka tchnąca. Wchodzimy. Proszę, by mi pokazano wszystkie wydawnictwa polskie. Sprzedawczyni, o rysach wydatnie semickich, mierzy nas nieufnym wzrokiem. Zamiast szukać książek, idzie do drugiej damy, która siedzi w fotelu przy stoliku, a której rysy twarzy również nie mają w sobie nic antysemitycznego. Poczynają szeptać między sobą, niechętnie na nas poglądając. Lecz z za lady wyłonił się młody chłopiec o płowych włosach i jasnych oczach. Ten jakby ucieszył się, że może nas uraczyć komunistyczną lekturą w języku polskim, znosi nam spore stosy broszur i książek. Perzyński rzuca się na nie z zapałem, jak gdyby zgłodniały był tej strawy. Damy godzą się z losem, wybieramy suty pakiet, płacimy słoną cenę...”

— Pio Baroja: „Jarmark głupców”. Powieść. Przełożył z hiszpańskiego Edward Boyé. Str. 281. Warszawa. Tow. Wyd. „Rój”. 1928.

Jest to najpoczytniejszy utwór najpopularniejszego hiszpańskiego pisarza. Czyta jego powieści cała Ameryka Południowa. Rozchodzą się w bajecznej ilości egzemplarzy. U nas, w Polsce, tak dobrze, jak nieznanym wcale. Książka należy do cyklu „Biblioteka Hiszpańska” ukazująca się pod kierunkiem najlepszego polskiego znawcy języka hiszpańskiego i hiszpańskiej literatury p. Ed. Boyégo, tłumacza powieści Manuela de Unamuno.

scenie czwartego aktu „serca nie czuję wśród łona” zamiast „serca nie czuję wśród łona”! Przez ileż to lat wołał Gustaw ze sceny: „Ach Klara, ta Klara!” Na szczęście, po rewelacji p. Lorentowicza, będzie już odtąd wołał: „A! Ta Klara, Klara!” Jak elektryzująco działać będzie na widownię nieśmiertelny ten wykrzyknik w ujęciu autentycznym, przywróconem mu przez p. Lorentowicza — nie trzeba tłumaczyć a i odmalować trudno.

Pomińmy... „koniuszek” tak niefortunnie pozostawiony nietkniętym przez prof. Kucharskiego w tekście Biblioteki Narodowej, podczas gdy mamy oto ustalony „koniuszczyk” (znowu coś niesłychanie Fredrowskiego). Pomińmy tak bardzo suggestyjne i otwierające szerokie horyzonty zapytanie p. Lorentowicza: „kiedy i w jakich okolicznościach mógł Fredo sam przerobić to, co mówi Gustaw Anieli o potęgze i właściwościach oddalenia?” (***) Lub

*** Wiesz ty, Anieli, co jest oddalenie? I t. d.

taki szczegół, że na wstępie do sceny pisanie listu Gustaw przynosi bynajmniej nie kałamarz, pióro i papier (jak „stoi” w tekście ustalonym przez prof. Kucharskiego) lecz tylko kałamarz i papier jak to raz na zawsze ustala p. Lorentowicz. Pomińmy szczegół tak pierwszorzędnej wagi, jak że klasyczna rada dana Albinowi przez Gustawa brzmieć winna: „Gdy cię przynagli, wyjdź za drzwi do licha!” a nie: „u licha!” Zdawałoby się: nie wszystkoż jedno? A zastanowiwszy się głębiej — ogromna różnica. W całkiem odmiennym świetle, jak w świetle błyskawicy przerywającej noc ciemną, stają w oczach naszych Fredrowskie „Śluby”. Olśnienie... Zawrót głowy... Znalezienie się wobec otwartego grobowca Tutankamena...

Śpieszno nam tę skarbnicę epokowych odkryć i „dokumentów kultury” przypieczętować jakby gwiazdą wyjątkowego blasku... Oto przywykliśmy... tak, niestety, przywykliśmy... że w przedostatniej scenie „Ślubów” Gustaw na niedowierzające zapytanie Anieli: czyż-

by w samej rzeczy miał stryj Radost być... trzpiotem? — rzuca jej, kiwając głową, krótkie a niemiłosiernie wymowne: „Oho!” (Ma znaczyć: Oho, jaki jeszcze trzpiot!) Wymażmy corychlej z pamięci to „Oho!” Gustaw — jak stwierdza bezapelacyjnie p. Lorentowicz, mówi: „Aha!” Rewelacja. Jeden świat runął, drugi się ukazał. To już nie dumne, pyszałkowane, tryumfujące „Oho!” — lecz machjawelskie jakieś, wkradające się w niewinną duszę Anieli, nawpół uragilne, napoty chichoczące złowrogo, żółte, niemal zwyrodniałe „Aha!”

„Aha!” to... „Niespodziewałaś się, a jednak tak jest”. To... „A widzisz?” To... „Tak jest i nic na to nie poradzimy, ani ty ani ja”.

Dla obdarzenia polskiej krytyki literackiej tym jednym tylko warjantem warto było — wydać książkę.

Tem bardziej, że obok faksymilu afisza warszawskiej premjery „Ślubów” w Rozmaitościach z roku 1834-go oraz wizerunków pierwszej ówczesnej Anieli,

(Zofji Kurpińskiej), Kudlicza (reżysera i pierwszego Radosta) tudzież pierwszego Gustawa (Wojciecha Piaseckiego) przetkano tekst „Ślubów” paroma scenami ze „Ślubów” z roku 1926-go na scenie teatru Narodowego, łącznie z wizerunkami Frenkla (Radost), Felicji Pichor-Słiwickiej (Dobrojska), Majdrowiczówny (Anieli), Brydzińskiego (Albin), Leszczyńskiego (Gustaw) i — last not least — p. Heleny Gromnickiej w roli Klary.

Tak powstała, jak się rzekło, w luksusowym wydaniu, na wiecznotrwałym papierze, książka mająca za zadanie utrwalić in memoriam sempiternam: zarówno rewelacje p. Lorentowicza jak wizerunki pół tuzina współczesnych mu artystów dramatycznych.

Trzeba przecie coś uczynić — dla potomności